

wując mu wszelkie inne. Młody, pełen energii i zapału, znakomity mówca, człowiek wielkiej wiedzy i zdolności, będzie dr. Głabiński niewątpliwie dobrym i odpowiednim przedstawicielem reprezentacji polskiej we Wiedniu.

I jeśli uda mu się wciągnąć do Koła polskiego grupę ludowców, dziś poza Kołem stojącą, jeśli uda mu się załagodzić choć w części fatalny stosunek polsko-ruski we wschodniej części kraju, to może być pewnym, iż kraj cały będzie nań patrzył nie tylko z uznaniem, ale i ze szczerą wdzięcznością.

oświetlanie za pomocą różnokolorowych lampek elektrycznych całych fasad domów, nie zwracają już niczyjej uwagi w wielkich miastach. W pogoni za sensacją reklam, stworzono w ostatnich czasach żywe reklamy i w tym celu użyto psów. I oto mieszkańcy Londynu i Berlina oglądają niezwykle widowisko. Pomiedzy przechodniami ukazują się cały szereg dużych psów. Idą wolno „gęsiego“, trzymając się kraju chodników. Na czele kroczy przewodnik w postaci największego i najsprytniejszego psa, który uważa, by towarzysze trzymali się szeregu, nie odbiegali do sklepów na widok kielbasy



Psy na usługach handlu: Psy przed wyruszeniem z reklamami na ulice Berlina.

Psy na usługach handlu.

Na nowy sposób reklamowania swych towarów wpadli kupcy angielscy, a w ślad za nimi i handlowcy z Berlina. Dotychczasowe ogłoszenia, umieszczane czy to na szczytach domów, czy też rzucające za pomocą reflektorów elektrycznych na niebo wieczorem, czy też podawane publiczności przez

i aby wzajemnie się nie wymijali. Spełniają one bowiem ważną misję. Przed wyruszeniem na miasto przymocowano im do grzbietów najrozmaitsze szyldy z ogłoszeniami towarów. Stały się one w ten sposób przedstawicielami danego kupca, który za pomocą tej żywej reklamy zachwala swoje towary.

Pożar stacji telefonów w Antwerpii.

W Antwerpii, w jednym z głównych miast Belgii, zdarzył się w początkach bieżącego miesiąca wypadek, który przez czas pewien zagrażał wielkiem niebezpieczeństwem wszystkim mieszkańcom. O godzinie pierwszej w nocy z niewiadomych przyczyn wybuchł w wielkim gmachu centralnego zarządu telefonów gwałtowny pożar. W chwili tej oprócz dyżurnych telefonistek nie było w budynku prawie nikogo, sporo też czasu upłynęło, zanim spostrzeżono płomienie. Na wszczęty alarm za pomocą telefonu nadjechały wszystkie oddziały straży pożarnej, niestety, nie było już co ratować. Pożar niezwykle szybko objął swymi płomiennymi językami cały gmach, tak iż z trudem tylko zdolano uratować telefonistki z biura.

Niezwykle trudności przedstawiało ugaszenie ognia na wyższych kondygnacjach budynku, zwłaszcza na wieży, na której wznosi się potężne rusztowanie dla drutów telegraficznych i telefonicznych. Zawalenie się tego kolosu żelaznego mogło spowodować nieobliczone w następstwach nieszczęście. W końcu pożar umiejscowiono, z całego jednak potężnego gmachu pozostały tylko żelazne rusztowania i kamienne ściany. Szkody, poniesione przez zarząd telefonów, obliczają na kilka milionów franków.

Skutki amerykańskiego krachu.

Obecnie dopiero przedstawiają się w całej pełni skutki olbrzymiego krachu trustowego w Ameryce, o którym pisaliśmy już poprzednio. Jak wielkie kapitały zagrożone były w tym kryzysie finansowym, możemy wywnioskować z kolosalnych sum depozytów złożonych w bankach, które najbardziej ucierpiały na runie. Ogólna suma kapitałów zagrożonych krachem, wynosiła 19 milionów koron, nie też dziwnego, że na pierwszą wieść o tem przesileniu dziesiątki tysięcy osób poczęły szturmować do kas bankowych, by odebrać swe wkładki. W przeciągu kilku dni w samym Nowym Jorku wycofano przeszło miliard koron z banków, następstwem czego było zupełne ogłoszenie targów handlowych z gotówki.

Obecnie panika, wywołana tem przesileniem pieniężnym, przycicha zwolna, handel amerykański będzie jednak przez długie jeszcze lata goił się z ran, otrzymanych w walce swoich miliardów.

Z lwowskiego bruku.

(Ruś na Kasę oszczędności. — Groźne położenie rzeźników. — Pomnik Słowackiego przed teatrem i jego przyszłe koleje. — Dwa koncerty. — Sorga. — Szczyt blagi. — Koncert Friedmana. — Ich czworo. — Wygwizdanie Germana).

Mieliśmy w ubiegłym tygodniu krótki run na galicyjską Kasę oszczędności i każdy, kto miał choćby pięć koron w tej poważnej instytucji, polecał odebrać swoją gotówkę w obawie, że mu Kasa zbankrutuje. Kasa wyszła z tego runu zwycięsko, bo każdemu wypłaciła wkładkę, a na dyskoncie zarobiła podobno grubą sumę. Zaraz po runie wszyscy, przekonawszy się, że Kasa ma gotówkę, napowrót ulokowali tam swoje wkładki i na tem skończyła się cała heca, która zapowiadała się dość groźnie.

Jeszcze groźniej, ale to już tylko dla rzeźników, zapowiadała się nowa akcja rady miejskiej, mająca na celu wprowadzenie taniego mięsa prowincjonalnego. Radny Mokrzycki, reprezentant rzeźników w lwowskiej radzie miejskiej, przestrzegał radę przed tą lekkomyślnością, która może zniszczyć 600 rodzin rzeźnickich i sprowadzić na nich zupełną ruinę materialną. Dobro rzeźników leżało nam zawsze na sercu, a Rada chyba otaczała ich i dalej otacza ojcowską opieką, więc zabolala wszystkich ta groźba p. Mokrzyckiego i jest poważna nadzieja, że magistrat w wykonaniu uchwały rady jeszcze dobrze zastanowi się nad tem, czy godzi się „niszczyć“ rzeźników lwowskich przez wprowadzenie taniego mięsa i, jak wiele poprzednich, tak i dzisiejsza uchwała rady czekać będzie na wykonanie bardzo długo.

Jeszcze dłużej, zdaje się, poczeka na wykonanie uchwały p. Juliusz Słowacki, któremu artyści teatru lwowskiego uchwalili wystawić pomnik przed budynkiem teatralnym, na wniosek samego dyrektora Hellera. Pan Heller przeznaczył na ten cel 360 koron jako należną tantiemę za wystawienie

„Lilli Wenedy“ i przyrzekł płacić dalszą tantiemę do tego funduszu. Ze strony dyr. Hellera jest to samo już pięknem, że on pierwszy podniósł myśl wystawienia pomnika wielkiemu poecie i absolutnie należy tę myśl pochwalić. Ale fundament do tego pomnika, złożony z 360 koron, jest tak nieznanym, a widoki — tantiemy późniejsze — tak słabe wobec stałego ignorowania dramatów Słowackiego ze strony lwowskiej publiki, że należy się obawiać, iż cała ta zacna myśl będzie tylko zwykłym fajerwerkiem. A trzeba pamiętać, że pomnik ma stanąć w r. 1909, a więc już prawie za rok. W tym roku mają artyści zebrać resztę... kilkadziesiąt tysięcy koron. Bo chyba wystawi się Słowackiemu pomnik a nie pomniczek. A w taką ofiarną lwowskiego społeczeństwa ja nie wierzę. Choćby nawet nastawiła cudną łapkę sama pani Bohuss, Miłowska, Bednarzewska, Trapszo, albo właścicielka najpiękniejszych rączek, panna Ciapcia.

Kapnie tam coś, więcej albo mniej, ale nie kilkadziesiąt tysięcy, choćby koron...

Mieliśmy w ubiegłym tygodniu dwa interesujące koncerty: jeden w Filharmonii, drugi w domu narodnym. W Filharmonii wystąpiła jakaś zagadkowa „Sorga“, podobno księżna indyjska, czy coś takiego. Tak przynajmniej pisze sam zarząd Filharmonii, a ten znany już jest z tego, że w bredniach jest hors concours. Są blagierzy — powiedział jakiś dowcipniś — u których wie się przynajmniej, że prawdą jest przeciwieństwo tego, co mówią. Jeśli powie, że białe, to można wierzyć że czarne. Ale lwowska Filharmonia należy do tych nałogowych blagierów, u których nawet przeciwieństwo tego, co mówią, nie jest prawdziwem. A więc nie wiemy, czy to księżna, czy indyjska, czy Sorga, czy kobieta, nic nie wiemy. Na koncercie było rozpaczliwie mało publiczności, bo we Lwowie już nikt do Filharmonii nie chodzi. A ta Sorga była przypadkowo wcale miłą kobietą i nic więcej, śpiewa dość miernie, ma mało odwa-

gi... no, co do tego, to może właściwie trzeba jej przypisać wiele odwagi, skoro zajeżdża do Filharmonii.

Jeszcze więcej odwagi okazał p. Friedmann Wilhelm czy Adolf, który wystąpił w Domu narodnym z koncertem, mianowicie z wielkim koncertem, bo u nas teraz każdy koncert jest wielkim, choćby sam koncertant był bardzo małym. W tym wypadku trudno było nie tylko usprawiedliwić przymiotnik koncertu „wielki“, ale samo nazwanie tego spektaklu „koncertem“. P. Friedmann miał... pełną salę. Pierwszy raz wystąpił we Lwowie, a salę miał pełną, bo jego nazwisko brzmi trochę po lwowsku, a trochę przypomina nazwisko Ignacego Friedmanna. Czem innem trudno sobie tłumaczyć tę pełną salę. Bo p. Friedmann ma wszystko, czego śpiewakowi nie trzeba, a niema nic z tego, bez czego dobry śpiewak istnieć nie może. Już nie raziloby nas tylko to, że niema postawy i zgola żadnych warunków zewnętrznych, że ma głos tylko chwilami i miejscami niezły — do tego wszystkiego jesteśmy już we Lwowie od pewnego czasu przyzwyczajeni. Ale p. Friedmann tak się na scenie zachowuje, że dyrektorzy Bristolu, Colosseum albo Olimpii nie zgodziliby się na takie niekoncertowe ekstrawagancje na swoich scenach. Można być tenorem, ale nie musi się być kiepskim tenorem.

Dramat Zapolskiej „Ich czworo“, o którym napiszę parę słów później, podobał się publiczności lwowskiej bardzo.

Żywe współczucie wywarła tu wiadomość, że naszego Germana w waszym teatrze za jego dramat wygwizdano, pomimo że wystawiało go aż dwóch dyrektorów i kilku reżyserów. Ale wystawa wystawą, a gwizdanie gwizdaniem. Bo — jak powiada pewien zły człowiek — strasznie jest, gdy kobieta chce się uderzyć w piersi i niema się w co uderzyć...

Kl.